

MÓJ KSIĘŻYCOWY PECH



JERZY BROSZKIEWICZ

Jerzy Broszkiewicz

MÓJ KSIĘŻYCOWY PECH

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2020

Tekst: wydanie I (1970)
Copyright © Estymator Jacek Chołoniewski 2020
Okładka i ilustracje: Włodzimierz Terechowicz (1970)
ISBN: 978-83-66719-01-9

SPIS TREŚCI

[TAŚMA PIERWSZA](#) (4)

TAŚMA DRUGA (66)

TAŚMA TRZECIA (113)

TAŚMA CZWARTA (179)

TAŚMA PIERWSZA



Ach, ten dzień!

Od razu muszę stwierdzić, że właściwie do nikogo nie mogę mieć żalów czy pretensji. Oczywiście zawsze można wytknąć kogoś palcem — powiedzieć „nie ja, tylko on”. Ale prawda jest prawdą: to właśnie ja zawałęm. A potem już cała historia tego dnia i mojego księżycowego pecha zaczęła się rozkręcać coraz szybciej, bujniej i lepiej — tak że w końcu chwilami nie wiedziałem już, czy to świat jest taki okrutny, czy też po prostu ja sam uległem atakowi ciężkiego zidiocenia.

Cała sprawa była przecież wiadoma i zaklepana z góry. Bo choć szkolna wycieczka na Księżyc to nic wielkiego, i każdy z naszej klasy przynajmniej raz w życiu już tam był, to jednak szkolna wycieczka ma swój program.

Z okazji owego dnia, o którym tu mówię, należało się spodziewać klasówki. Po co zresztą pleść o jakimś „spodziewaniu się”?

Wiadomo, jak to się dzieje. Opiekun klasy daje ogólne założenia głównemu szkolnemu komputerowi, a ten dopiero urządza sobie zabawę w konkretne szczegóły. Tym sposobem sztuczny mózg układa taki program wycieczki, że cała klasa, czyli dwadzieścia sześć dość młodych i całkiem niesztucznych mózgów, musi się mocno potem namęczyć nad możliwie dokładnym i rzeczowym opisem jej przebiegu. Nie chcę przy tym twierdzić, że cała sprawa jest niesłychanie trudna i zawiłana. Można na przykład brać ze sobą kieszonkowe kamery filmowe i nakręcać niektóre ciekawsze albo trudniejsze fragmenty wycieczki. Po prawdzie jednak niewiele to pomaga. Takie notatki z natury rzeczy urywkowe są i pobieżne. Istotna bowiem trudność wyżej wspomnianej klasówki polega na możliwie najdokładniejszym, najbardziej szczegółowym i najbardziej osobistym opisie całości. Co gorsza: wszystko to trzeba opowiedzieć metodą całkiem przedpotopową — wprost na taśmę magnetofonu. Trzeba opowiedzieć nie tylko, co się widziało, ale także i to, co się czuło, o czym się myślało i jakie ogólniejsze wnioski z tego wszystkiego się nasuwają. Jednym słowem, każdy z szanownej wycieczki ma obowiązek przedyktowania na taśmę czegoś w rodzaju dużego reportażu albo małej powieści. Potem taśmy idą do szkolnej drukarni, gdzie głos przetwarza się na druk, i dopiero wtedy zaczyna się cała zabawa jakby na nowo: wszyscy czytają wszystkie te (za przeproszeniem) „dzieła literackie”, następnie na zasadzie głosowania wybiera się pięć najlepszych, potem każdy pisze z nich recenzję i w końcu profesorowie przyznają nagrody za najlepszą powieść i najlepszą recenzję.

Każdy mi przyzna, że z tego wszystkiego można dostać ciężkiego szumu w szarych komórkach, a nawet czkawki w szyszynce.

Nic dziwnego, że już za szkolnych czasów moich rodziców odzywały się głosy przeciw tym literackim udręczaniom biednej młodzieży — i podobne głosy odzywają się po dziś dzień. Ale i tak nic z tego. Zarówno zespoły komputerów, jak Główny Rada Szkolne stale się upierają przy owym obyczaju.

Jeśli chodzi o mnie, narzekać, narzekam, ale z zasady nie krzyczę. Ostatecznie program szkolny jest po to, żeby go wykonywać, nie zawsze z zachwytem, ale po prostu ku swemu pożytkowi. I to możliwie najdokładniej. Ja w każdym razie jestem najgłębiej o tym przekonany.

Mówię: ja — a jeszcze się nie przedstawiłem ani nie wyjaśniłem, kim w istocie jestem. Czas na to.

Otóż nazywam się Paweł Kostal, mam lat czternaście, wzrost metr sześćdziesiąt siedem, dużo piegów na nosie i w okolicy, oczy niebieskie, twarz pociągłą, włosy nieco rudawe, dość dobrą kondycję, szóstą klasę raketowego pilotażu oraz zamiłowania matematyczne. W swojej klasie utrzymuję się zazwyczaj w pierwszej piątce zarówno w matematyce i cybernetyce, jak w sporcie i geologii, ale tylko w tych przedmiotach. Jestem w klasie dziewiątej i mam przed sobą jeszcze około dwóch lat szkolnej harówki — oczywiście w zależności od tempa składanych egzaminów. Potem — kiedy ukończę lat szesnaście, pójdę do Instytutu Matematyki albo przejdę od razu do pracy zawodowej jako technik cybernetyczny. Rzecz jasna — wolałbym to pierwsze. Muszę jednak na Instytut uczciwie zapracować i jeszcze przed ukończeniem szkoły udowodnić, że potrafię być w przyszłości samodzielnym pracownikiem naukowym. Jak na razie, nie idzie mi najgorzej i pewne szanse już teraz się rysują. W ciągu ostatniego roku napisałem i wydałem trzy samodzielne

(wykraczające poza program szkolny) prace, z których dwie Instytut przyjął, dając im całkiem niezłą punktację. Mam jednak przed sobą jeszcze dwa lata solidnej roboty, bo bez dziesięciu samodzielnych prac nie mam nawet co marzyć o przyjęciu do Instytutu. Co dalej?

Mieszkam w Jaśminach. Miasto jest młode i nieduże — wszystkiego dwieście lat i pół miliona mieszkańców. Połowa drogi między Krakowem a Wrocławiem. Oczywiście nie mieszkam sam. Mieszkam z rodzicami, których zaliczam do ekstraklasy tego gatunku, a jeszcze do zeszłego roku był też z nami mój starszy brat, Lutek. Muszę przy tym stwierdzić, że Lutek to też w gruncie rzeczy osobistość raczej wyjątkowa. W piętnastym roku życia przeskoczył końcowe egzaminy szkolne, potem wygrał środkowoeuropejską olimpiadę fizyki kosmicznej i od razu wysłano go na Marsa, do Głównego Instytutu Wielkich Wypraw.

Dobrze jest mieć takiego brata, którym można się pochwalić we wszystkich środowiskach i we wszystkich miejscach kuli ziemskiej. Ale każda zasada ma dwa końce. Ów drugi, gorszy, koniec polega na tym, że mam kilkoro takich rozkosznych krewnych, przyjaciół i znajomych, którzy od czasu do czasu z niewinnym spojrzeniem i bardzo słodziutkim głosem powiadają: tak, prawda, oczywiście, Lutek to wspaniały facet! Ale... ale co z tobą? Potrafisz choć w części być taki jak on? Potrafisz mu dorównać?

Oczywiście rodzice są za dobrzy, za mili i za mądrzy na takie niby-metody niby-wychowawcze. Mam jednak ze dwóch wujów i ze trzy kuzynki, którzy zaletami i talentami Lutka na pewno zbyt często wykluwają mi oczy. I gdybym Lutka tak nie lubił, jak go lubię — to przy ich troskliwej pomocy dostawałbym pokrzywki na sam jego widok.